

Gra toczy się o to, kto ma dysponować oszczędnościami Polaków - czy wykorzysta je państwo, sprzedając obligacje skarbowe, czy też instytucje finansowe, by na wtórnych rynkach pompować bańki spekulacyjne
W pętach ekonomicznej mitologii

Z prof. Jerzym Żyżyńskim z Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego rozmawia Małgorzata Goss

Kryzys gospodarczy zaowocował kryzysem neoliberalizmu, który był do niedawna obowiązującą ideologią...

- Powiedziałbym - mitologią ekonomiczną. Tymczasem żeby zrozumieć ekonomię, konieczne jest oderwanie się od zmitologizowanego myślenia. Mit to fałszywe wyjaśnianie rzeczywistości oparte nie na wiedzy naukowej, lecz na domniemaniach i fantazjach. Jest on wynikiem uproszczonego formułowania opinii, dlatego też łatwo zapada w świadomość społeczną. Na przykład wypowiedź prof. Leszka Balcerowicza dla "Rzeczpospolitej", w której stwierdził, że polskie wydatki budżetowe są horrendalnie duże i stanowią 44 proc. produktu krajowego brutto (PKB)... Otóż w rzeczywistości stanowią ok. 24 proc. PKB. Profesor pomylił wydatki budżetowe z wydatkami całego sektora finansów publicznych, a to coś znacznie szerszego niż budżet państwa. To tak jakby ktoś powiedział, że "w domu za dużo wydaje się na jedzenie", wymieniając sumę, która faktycznie zawiera nie tylko wydatki na żywność, ale i na czynsz, dentystę, książki, komunikację, a nawet osobiste wydatki dziecka, które dorabia korepetycjami. Takie pomyłki, zwłaszcza robione przez ludzi z autorytetem, stają się źródłem mitologicznego myślenia. Notabene relacja wydatków sektora finansów publicznych do PKB szacowana jest na 40,5 procent.

Większość ludzi stara się zrozumieć gospodarkę na przykładzie własnego gospodarstwa domowego, kierując się po prostu zdrowym rozsądkiem.

- Mit zdrowego rozsądku to największy mit niszczący myślenie o problemach gospodarczych. Większość ekonomicznych mitów powstaje na bazie "zdrowego rozsądku". W ekonomii tzw. zdrowy chłopski rozum nie wystarczy, bo to, co jest dla nas oczywiste, ma zwykle źródło w doświadczeniach gospodarstwa domowego czy przedsiębiorstwa. Wbrew temu, co niektórzy sądzą, gospodarka narodowa to nie jest "po prostu wielkie przedsiębiorstwo", nie jest też czymś analogicznym do gospodarstwa domowego. Gospodarka to jakościowo inny twór, którego funkcjonowaniem rządzą inne reguły. Weźmy taki bardzo popularny mit rozpowszechniany przez liberałów, którzy wzywają do oszczędzania, utrzymując, że "w gospodarce popyt jest nieważny, ważna jest podaż". Niektórzy przekonują wręcz, że popyt to "ekonomiczne zło, które trzeba ograniczać". Jest to myślenie błędne, bo podaż nie ma sensu, jeśli po drugiej stronie nie znajduje popytu, czyli ludzi chcących kupić i mających na to pieniądze. Mit "prymatu podaży" ma swoje źródło w błędnym poglądzie, że "każda podaż wykreuje dla siebie popyt", bo wszystko, co zarobione, musi zostać wydane. Ewentualne oszczędności mają być tylko przesunięciem wydatku w czasie i zawsze będą automatycznie przekształcane w inwestycje. To miał być "samonapędzający się motor", który zapewni stabilność gospodarce. Okazuje się jednak, że to, co zarobione, może nie być wydane, a oszczędności wcale nie muszą w całości przekształcać się w inwestycje. Część pieniędzy może być "uwięziona" jako tzw. nadpłynność systemu finansowego, a wtedy pojawia się kryzys niedoboru popytu...

Czy na tym polega obecny kryzys?

- Oczywiście, słabnący popyt, m.in. z powodu ograniczenia przez banki kredytu, stał się źródłem zapaści gospodarek zachodnich, a rządy robią teraz wszystko, by zdynamizować popyt. Polska poradziła sobie z kryzysem właśnie dzięki temu, że rząd, wbrew zapowiedziom, nie ściął zanadto wydatków, a Polacy nie ograniczyli zakupów. To podtrzymało poziom wzrostu gospodarki na niewielkim plusie. To, co rząd chciał zrobić, ale na szczęście mu się nie udało, mianowicie - oszczędzać z powodu kryzysu - to też wynik mitu, że "w kryzysie trzeba zaciskać pasa". Trzeba, jeśli w kryzysie znajduje się rodzina, przedsiębiorstwo, ale nie gospodarka jako całość. Gdy państwo zaczyna w kryzysie oszczędzać, to pracownicy sektora budżetowego i kontrahenci rządu, czyli przedsiębiorstwa, którym państwo coś zleca albo od których kupuje, zarabiają mniej, a jak mniej zarabiają, to mniej wydają, a jak mniej wydają, to nie zarabiają przedsiębiorstwa, i też mniej wydają, i tak zaciska się pętla kryzysu. Mit oszczędności, zwany "paradoksem oszczędności", jest ogólną zasadą, nie dotyczy wyłącznie kryzysu. Z punktu widzenia gospodarki domowej oszczędzanie jest cnotą. Do pewnego stopnia, bo jak oszczędza na owocach dla dzieci, wydatkach na ich naukę, na dentyście, to trudno ją uznać za dobrą gospodynię. Zasadniczo jednak odkładanie oszczędności w gospodarstwie domowym jest chwalebne. Ale z punktu widzenia gospodarki jako całości oszczędzanie oznacza, że nie zostały wydane pieniądze, bo w danym momencie zrezygnowano z konsumpcji. Gdyby te odłożone pieniądze zostały przez system finansowy automatycznie "przekute" w inwestycje (tzn. ktoś wzięłyby je jako kredyt i wydał), to inwestycja zwiększyłaby moce produkcyjne gospodarki, stworzyłaby nowe miejsca pracy, byłoby to pozytywne. Ale tak być nie musi. Jeśli w wyniku powszechnego oszczędzania zmniejszył się popyt, to przedsiębiorcy tracą skłonność do inwestowania. Krótko mówiąc - to, co racjonalne i korzystne dla jednostki, gdy staje się zachowaniem powszechnym, okazuje się szkodliwe dla gospodarki.

A oszczędzanie przez państwo, unikanie zadłużenia, jest korzystne dla gospodarki?

- Tu dotykamy kolejnego mitu: mitu deficytu budżetowego jako czegoś z gruntu szkodliwego. W gospodarce, zwłaszcza w sytuacji spowolnienia gospodarczego, oszczędności są z reguły większe od poziomu inwestycji realnych tworzących nowe moce produkcyjne i miejsca pracy. Ta nadwyżka oszczędności może być wykorzystana dwojako: albo do inwestowania na rynkach wtórnych, gdzie staje się często paliwem podgrzewającym bańki spekulacyjne, albo może być pożyczana przez państwo - w formie obligacji skarbowych - na sfinansowanie jego wydatków. W Polsce, podobnie jak w innych krajach, wydatki budżetowe w latach 2001-2004 były w ok. 20 proc. finansowane pożyczkami; później w kilkunastu procentach, a na 2009 r. zaplanowano, że będą finansowane pożyczką w niecałych 6 proc. - i to się na szczęście nie udało. Papiery skarbowe są dla wielu podmiotów gospodarczych, np. dla funduszy emerytalnych, bezpieczniejszą lokatą niż akcje, bo nie ma ryzyka, że stracą na wartości. Proszę zauważyć, że nawet mityczny "zdrowy rozsądek gospodini domowej" podpowiada, że w pewnych sytuacjach wydawanie więcej niż się zarabia bywa racjonalne, np. zakup mieszkania na kredyt zamiast oszczędzania przez całe życie na jego kupno za gotówkę. Ale "zdrowy rozsądek gospodini domowej" mówi też, że dobrze jest mieć nadwyżkę, bo to oznacza budowanie rezerw na przyszłość. Natomiast w przypadku państwa nadwyżka jest szkodliwa, bo oznacza, że państwo więcej zabiera obywatelom w formie obowiązkowych danin, niż oddaje w formie publicznych wydatków. Nadwyżka budżetu państwa zawęża popyt, szkodzi koniunkturze, sprawia, że mniej zarabiają przedsiębiorcy i pracownicy. Można matematycznie udowodnić, że deficyt budżetowy służy rozwojowi gospodarki.

Jednak deficyt, który nawarstwia się latami, tworzy dług, który trzeba kiedyś spłacić...

- To kolejny mit długu publicznego pojmowanego jako "zadłużanie się kosztem przyszłych pokoleń". Jeśli państwo pożycza od własnych obywateli i im spłaca odsetki od długu, a potem oddaje im pożyczone pieniądze, to jak można mówić, że państwo zadłuża się kosztem obywateli? Znakomity polski ekonomista, prof. Kazimierz Łaski, trafnie napisał w wydanej właśnie książce, że "mówienie o zapożyczaniu się państwa u przyszłych pokoleń nie ma sensu". To slogan.

Ale ostatnio dług narasta i może przekroczyć konstytucyjne 60 proc. PKB.

- Profesor Łaski przytacza wybitnego włoskiego ekonomistę, Luigi Pasinettiego, który tę ustanowioną w Maastricht granicę długu publicznego określił dosadnie "stupido", czyli "głupota". Ostatnio wiele krajów przekroczyło ten próg. Niezbyt mądre było wpisywanie tych 60 proc. do Konstytucji - to wymusiło wprowadzenie do ustawy o finansach publicznych bezsensownych progów bezpieczeństwa - 50 i 55 proc., które teraz, w sytuacji kryzysowej, utrudniają prowadzenie racjonalnej polityki. Warto wiedzieć, że stosunek długu publicznego do PKB dąży do relacji, jaka zachodzi między udziałem deficytu w PKB a tempem wzrostu gospodarczego. Jeśli na przykład deficyt stanowi 3 proc. PKB, a wzrost gospodarczy wynosi 5 proc., to dług publiczny będzie dążył do poziomu 3/5, czyli 60 proc. PKB. Jeśli tempo wzrostu gospodarki spadnie do 3 proc., to siłą rzeczy, w naturalny sposób, dług wzrośnie do 100 proc. - przy tym samym deficycie. Jak można tę relację zmniejszyć? Odpowiedź jest prosta: przez zwiększenie mianownika lub zmniejszenie licznika. Zatem jeśli tempo wzrostu zwiększy się do 9 proc., to przy takim samym, stałym deficycie poziom zadłużenia spadnie do 3/9 czyli 33,3 proc. PKB. Liberałowie chcą odwrotnie - zmniejszać licznik, czyli deficyt. Gdyby zmniejszyć deficyt do 1 proc. PKB, to przy wzroście 5 proc. dług wyniesie 20 proc. PKB, a przy wzroście 3 proc. - 33,3 proc. PKB. Ale ograniczanie deficytu niesie za sobą mniejszy popyt, mniejsze zyski przedsiębiorców, osłabienie koniunktury i wzrostu.

Stoimy więc przed wyborem: szybszy rozwój czy mniejszy deficyt i dług?

- Problem polega nie na poziomie długu, a na kosztach jego obsługi. Chodzi o to, by nie były one tak wysokie, że pochłaniałyby cały deficyt, bo wtedy deficyt przestałby pełnić funkcję kreatora popytu. Kluczową rolę odgrywają tu stopy procentowe: jeśli stopa oprocentowania obligacji skarbowych jest za wysoka, to cały deficyt idzie na obsługę długu, a to jest bez sensu. Sztuka polega na tym, by utrzymywać dług i deficyt na takim poziomie, by dodatni był tzw. deficyt pierwotny, czyli to, co zostaje z deficytu po odjęciu kosztów obsługi długu. Mówiąc, że dług ma pewien racjonalny sens, mam na myśli dług krajowy, czyli zaciągany u obywateli własnego kraju, natomiast zapożyczanie się za granicą można określić jako zło ekonomiczne (które ma czasem sens, gdy jest tańsze).

Mówi Pan, żeby nie demonizować długu publicznego, a przecież z powodu zadłużenia ekonomiści wystąpili z apelem o radykalne cięcia wydatków budżetowych...

- Wyjaśnijmy najpierw, co jest przyczyną wzrostu długu. Jedną czwartą długu stanowi zadłużenie zagraniczne, które w stosunku do zeszłego roku wzrosło ze 120 do ponad 160 mld zł (cały dług publiczny to 620 mld zł). Jedną z przyczyn wzrostu jest spadek wartości złotego. Na skutek zmian kursowych więcej też kosztuje jego obsługa. Uważam cały ten raban za niepotrzebny, bo o polityce nie mogą decydować sprawy tak efemeryczne jak zmiany kursowe. Proszę zwrócić uwagę na nazwiska tych ekonomistów. To świetni fachowcy, ale czy to przypadek, że są to ekonomiści banków i instytucji finansowych? Otóż cała gra toczy się o to, kto ma dysponować oszczędnościami Polaków. Jeśli oszczędności są wyższe od inwestycji, rodzi się pytanie: co z nadwyżką? Czy ma ją wykorzystać państwo,

sprzedając obligacje skarbowe, które staną się składnikiem aktywów np. funduszy emerytalnych i będą budowały pomyślność przyszłych emerytów, czy mają to przejąć instytucje finansowe, by na giełdzie, na tzw. wtórnych rynkach, pompować bańki spekulacyjne, czyli zarobki potentatów finansowych?

A może bogactwo emerytów?

- Bogactwa emerytów wtórne rynki nie zbudują. Kapitał odkładany przez emerytów latami może z dnia na dzień spaść o połowę - taka jest natura baniek spekulacyjnych. Ze względu na finansowe bezpieczeństwo środki emerytów powinny być inwestowane w bezpieczne papiery skarbowe.

Część wydatków budżetowych stanowią tzw. wydatki sztywne. Niektórzy ekonomiści postulują ich redukcję...

- To bardzo zły kierunek myślenia. Sztywne wydatki stabilizują budżet i za jego pośrednictwem gospodarkę, zwłaszcza w czasie kryzysu. Dzięki temu, że kreują popyt, częściowo niwelują "zwijanie się" gospodarki. Uważam, że do sztywnych wydatków należałoby zaliczyć także nakłady na ochronę zdrowia, bo inaczej spadek wpływów do NFZ spowodowany kryzysem wymusi ograniczenie wydatków i ludzie będą umierać z braku pieniędzy na leczenie.

Popyt może być siłą napędową gospodarki, ale nadmiar pieniądza grozi wysoką inflacją...

- Popyt nie może wynikać z kreacji pieniądza niezwiązanej ze wzrostem gospodarczym i musi opierać się na właściwym podziale wypracowanego dochodu narodowego. Szkodliwe są ingerencje w strukturę podziału dochodu narodowego, które zmniejszają popyt. Przykładem jest mityczna "deregulacja rynku pracy". Pseudoeksperti reprezentujący pracodawców utrzymują, że ma jakoby sprzyjać wzrostowi. Tymczasem ekonomiści szukali dowodów, które by tę tezę potwierdziły, i nie znaleźli. Wręcz przeciwnie, deregulacja osłabia wzrost gospodarki. Dlaczego? Bo to, co racjonalne dla pojedynczego przedsiębiorcy, gdy - w wyniku zmian prawnych - stanie się powszechną praktyką, prowadzi do zmniejszenia płac pracowników, w efekcie - zmniejszenia popytu, a wraz z nim - dochodów przedsiębiorstw i ich zysków. Koszty pracy w Polsce są i tak jednymi z niższych w świecie. W Szwajcarii stanowią ponad 60 proc. PKB, w USA prawie 60 proc., w krajach europejskich około 45-50 proc., a w Polsce... tylko 35 proc. PKB. Mit "wysokich kosztów pracy" powoduje, że Polacy stopniowo spychani są na pozycję pariasów Europy.

Dziękuję za rozmowę.